

SZKIC

Hanka i Jacek
Fedorowiczowie
w rozmowie
z Patrycją Bukalską



 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

6. O STRAŻAKACH, BRAMKARZACH I PROWOKATORACH

25 listopada 1981 roku podchorążowie Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej (WOSP) na warszawskim Żoliborzu ogłosili strajk okupacyjny, do którego przystąpili niemal wszyscy studenci. Protestowali przeciwko nowelizacji ustawy, która miała przekształcić szkołę w uczelnię wojskową. Obawiali się, że mogą być wykorzystywani do tłumienia demonstracji. 2 grudnia strajk został spacyfikowany. Po wprowadzeniu stanu wojennego niektórzy ze studentów szkoły pożarniczej zaangażowali się w działalność w Świętym Marcynie.

HF: Pewnego wieczoru, niedługo przed wprowadzeniem stanu wojennego, umówiliśmy się z Adamem Michnikiem, że zrobimy coś do jedzenia i pogadamy. Jacek wcześniej miał pójść – i poszedł – do strajkującej szkoły strażackiej. Wiedział jednak, że ma wrócić, bo będzie Adam. Zawsze nas bardzo interesował, choć nie byliśmy wtedy jakoś blisko. Ogromnie się cieszyłam na to spotkanie. Czekamy, czekamy, czekamy, czekamy z Adamem, niestety Jacek nie przychodzi. Zrobiłam wtedy szkic, rysunek Adama, ale go nie skończyłam, bo Adam nie chciał. Speszył się, powiedział: „Nie, nie, nie rób”. Dlatego przestałam. Bardzo długo czekaliśmy, Jacek, na ciebie, a ty nie przychodziłeś, i muszę ci powiedzieć, że byłam

bardzo wystraszona, bo czasy były nieprzyjemne. To było tuż-tuż przed stanem wojennym... A Jacek jest maniakalnie punktualny, wiedziałam więc, że coś się musiało stać. Nagle Jacek wpada i ściąga z siebie różne kable, którymi był cały poobwijany, i opowiada nam, jak się przedzierał do szkoły strażackiej przez okna, murki...

JF: To była przygoda, która zapadła mi w pamięć. Ponieważ nie mam zaufania do swoich zdolności – jak by to powiedzieć? – wojennych, nie jestem kandydatem na bohatera czy żołnierza i jestem nieprzyzwyczajony do działań niedozwolonych...

HF: Prawda, ty jesteś legalista...

JF: Taki dobry uczeń, co to nigdy nie jeździł na gapę itd. Ale byłem też reporterem Radia „Solidarność” Regionu Mazowsze i w pewnym momencie miałem szansę dostać się do strajkującej szkoły strażackiej na Marymoncie.

To było tak, że zatelefonował do mnie Seweryn Jaworski, że koniecznie trzeba ich odwiedzić. Uważałem, że strajkującym niekoniecznie jest potrzebny akurat artysta... Nie umiałem zresztą nigdy występować prywatnie, wejść w jakieś towarzystwo i opowiadać dowcipy. Zawsze była mi potrzebna konwencja sceny, konwencja artysta–publiczność... No nieważne, w każdym razie uważałem, że nawet gdybym był artystą, który pojedzie ich zabawić, to im niewiele to da. Natomiast jeżeli pojedę z moim magnetofonem, a potrafiłem wtedy naprawdę bardzo dobrze nagrywać, w każdych warunkach, i miałem zupełnie cudowny magnetofon amatorski z zepsutą automatyką... Zepsucie polegało na tym, że mikrofon zawsze wyłapywał pierwszy plan idealnie. To znaczy, że mogła być wojna dookoła, ale jeżeli ja tu mówiłem, to tylko

ja byłem słyszalny. Jednak jak tu przelatywała bzz-bzz mucha, ja nikłem, była tylko mucha. Do reporterskich nagrań, kiedy wiedziałem, jak działa i umiałem nim operować, był to sprzęt idealny. Pomyślałem więc, że jak zrobię reportaż z tego strajku strażaków, to będzie materiał na naszą kasetę – później kopiowaną i rozprowadzaną – i to da na pewno więcej niż opowiadzenie przeze mnie kilku dowcipów.

Kiedy dotarłem na miejsce, okazało się, że cała szkoła jest otoczona... Nie, najpierw muszę opowiedzieć, jak tam dojechałem, bo to jest osobna historia i przyczynek do naszej „sprawności” organizacyjnej!

Seweryn Jaworski stwierdził mianowicie, że przysłała taksówkę. Dobrze, schodzę na dół, podjeżdża taksówka, siedzą w niej już cztery osoby i one koniecznie muszą tam jechać. I że ja się przecież zmieszczę... Taksówkarz mówi jednak: „A w życiu, nie zmieści się, ja mogę wziąć tylko cztery osoby”. Machnąłem więc ręką i mówię: „Jedźcie, jakoś się dostanę”.

Jak to zrobiłem, już nie pamiętam, ale na miejscu zobaczyłem, że cały kompleks budynków otoczony jest przez milicjantów, którzy chodzą regularnie mniej więcej w odległości dziesięciu-dwudziestu kroków, może trochę więcej. Studenci strażacy byli uprzedzeni, że tam będę. Zobaczyłem ich na pierwszym piętrze. Porozumieliśmy się jakoś, że jestem w krzakach za torami tramwajowymi. I jakoś na migi się umówiliśmy, że wystarczy, żebym podskoczył. W pewnym momencie wypatrzyłem największą przerwę między milicjantami, wypadłem z krzaków. Już mówiłem, że byłem wtedy bardzo dobrze wytrenowany w biegach, błyskawicznie więc znalazłem się pod murem, podskoczyłem na tyle, że mnie złapali za rękę, i już było po wszystkim, byłem

w środku! Oni – trzej czy czterej silni chłopcy, ja – mniej więcej sześćdziesiąt kilogramów wagi, zatem żaden problem.

Zrobiłem z tego strajku bardzo fajny reportaż i między innymi tam poznałem Jurka Popiełuszkę. Pierwszy raz go zobaczyłem, pogadałem wtedy z nim i jakoś przypadliśmy sobie do gustu.

Problem był natomiast z tym, jak się stamtąd wydostać, żeby bezpiecznie przenieść kasety.

Miałem swój sposób okablowania się i nagrywałem tak, że jak chciałem z kimś przeprowadzić rozmowę, żeby on nie wiedział, że ja to nagrywam, to miałem magnetofon w torbie, umiałem go włączać bez patrzenia, kabel szedł pod koszulą wzdłuż rękawów, mikrofon był ukryty w dużym zegarku – taki mikrofon to wtedy był majątek. Genialnym pomysłem własnym było to, że paliłem fajkę – na niby – dlatego podstawiałem mikrofon pod usta mówiącego i dźwięk był lepszy, niż gdybym nagrywał w studiu.

Jakoś więc te wszystkie kable i magnetofon umieściłem tak, żeby się nie majtały, a kasety schowałem w buty marki Relaks, no i już było prosto – zeskoczyć z okna było łatwiej. Wypatrzyłem przerwę między milicjantami, zeskoczyłem i byłem w domu!

HF: Kiedy Jacek wszedł do domu, oboje z Adamem w osłupieniu patrzyliśmy, jak on te kasety i kable wyciąga i z siebie zdejmuje.

JF: W tamtych czasach kasetą była prawdziwą bronią. Już wspominałem, że Stefan Bratkowski nazywał kasety magnetofonowe „samopowielającą się gazetą”. On wręcz uważał, że do upadku Franco przyczynił się piosenkarz Lluís Llach,

bo gdy pojawiły się kasety, jego przesłanie mogło dotrzeć do każdego Hiszpana. Z sentymentem wspominam to przekonanie Stefana, bo dla historyków liczy się tylko „bibuła”, a nie kasety... Przez lata miałem pretensje do Europejskiego Centrum Solidarności, że na wystawie działalność podziemna to tylko bibuła, tylko to, co na powielaczu. No przesadzam, nie tylko, ale w ogromnej przewadze. Teraz uzupełniają wystawę, i słusznie, bo znacznie większy odbiór miało to, co robiliśmy na taśmach. Społeczne oddziaływanie kaset było ogromne!

HF: Ta historia jest ważna też z innego powodu. Po takich akcjach Jacek cieszył się zaufaniem i dlatego właśnie później u nas, w Świętym Marcynie, zjawili się strażacy. Z nich rekrutowali się nasi pierwsi bramkarze. Wiedziałam, że – po pierwszych chwilach entuzjazmu – trzeba postawić bramkarzy w drzwiach na Piwnej, żeby nie wszyscy wchodzili do środka. To było po prostu jakieś zupełne szaleństwo, ludzie przychodzili tłumnie, przyjeżdżali z całej Polski. I to trwało, to nie były dwa-trzy dni, to trwało.

Opowiem o takiej, zdawałoby się, drobnej rzeczy, ale to dobry przykład, który świadczy o tym, jak potrzebna była taka – jak by to nazwać? – serdeczność, bliskość. Te słowa wtedy wiele znaczyły, miały prawdziwą wartość. Kiedyś tuż-tuż przed godziną milicyjną, prawie pusto w klasztorze i nagle ktoś biegnie od furty. Słyszę odgłosy stóp, takie drobne tup, tup, i wpada przerażona franciszkanka, i mówi: „Pani Hanko, niech pani przyjdzie na furtę, szybko!”. Pędzę więc i co tam widzę? Czarnoskóry chłopak. Obwieszony znaczkami „Solidarności”. Wyciąga do mnie rękę i mówi... O Jezu, jeszcze teraz, po tylu latach, chce mi się płakać... I mówi:

„Trzymajcie się! Solidarność Słupska”. Wtedy nic nie jeździło, noc prawie, bo już zima, godzina milicyjna, kompletnie ciemno, ile on musiał iść na piechotę i którędy, żeby dotrzeć do Świętego Marcina i mi to powiedzieć? To naprawdę inny świat. To było nadzwyczajne, ale ja byłam przerażona, bo na ulicy on stanowił wyraźną prowokację, z tymi znaczkami... Miał je poprzyczepiane jak ruski generał medale. Jeden obok drugiego. Nie wiedziałam, co zrobić, na boku zaczęłam pertraktować, żeby go przenocować, bo to były pierwsze dni i naprawdę nie było wiadomo, czego się spodziewać, Kołyma czy co innego... ale kiedy się odwróciłam, już go nie było, po prostu sobie poszedł. Pojawił się tylko po to, żeby powiedzieć: „Trzymajcie się!”. Ile wtedy znaczyły słowa.

JF: Godzina milicyjna to była nowość, która szybko zmieniła obyczajowość noclegową. Wszyscy nocowali u wszystkich. Padało tylko pytanie „u kogo dziś pokot?” i już. Czasem pokot jednonocny przekształcał się w wielomiesięczne pomieszkiwanie. Ci strażacy, co po spacyfikowaniu buntu przyszli do Świętego Marcina, stracili nie tylko uczelnię, ale i internat, więc zamieszkali u naszego przyjaciela, który się wyniósł do nas – mieliśmy wolną kłitkę – i zapuścił korzenie na kilka lat. Święty Marcin powoli stawał się sprawnie działającym biurem kwaterunkowym.

PB: Jacy ludzie jeszcze przychodzili?

HF: Różni, z różnymi sprawami, także dzięki temu, że był tam Jacek, że było to zaufane miejsce. Wiedzieli, że mogą zgłaszać też miejsca, które mogły być używane jako tak zwane spotkaniówki czy mieszkania do dłuższego wykorzystania. Wszystko, absolutnie wszystko, mieliśmy całe miasto do

dyspozycji i do pomocy. Tak było na samym początku, potem to wszystko przejęło podziemie.

PB: To rzeczywiście wymagało odwagi, by oddawać do dyspozycji te „spotkaniówki”, ale czy dla państwa nie było ryzyka, że są to osoby podstawione?

HF: Było, ależ oczywiście, że było. Nigdy jednak nie było żadnej wpadki z tego powodu.

JF: Pamiętam prowokatorkę, która głośno mówiła, że ma powielacz w samochodzie i prosi, żeby go ukryć. I to się wpisuje w brak fachowości Służby Bezpieczeństwa i potwierdza teorię, którą kiedyś wyrzucił z siebie przez telefon czy przy jakiejś innej okazji Staszek Bareja, gdy się mu zwracało uwagę: „Słuchaj, takich rzeczy przecież nie możesz mówić przez telefon”. Bareja był zaangażowany w robotę podziemną, w pomaganie podziemiu, ale uważał, że wszystko w socjalizmie działa źle, że to immanentna cecha tego systemu, dlatego więc Służba Bezpieczeństwa miałaby przeczyć tej zasadzie? I ja w to kiedyś uwierzyłem i wielokrotnie znajdowałem w swoich spostrzeżeniach potwierdzenie tej prawdy, jak na przykład to, co opublikowano... Mówić dalej?

HF: Mów, oczywiście.

JF: Kiedyś, gdy powstawał IPN, opublikowano raport esbeków dotyczący artystów, jak nękanie byli artyści, i między innymi jak ja byłem nękanym. Otóż wiele telefonów, które ten podpisany pod raportem esbek rzekomo do mnie wykonywał, było zmyślonych. On raz tylko zadzwonił, to pamiętam, z czymś głupim, a cała reszta została wymyślona. Nagle zobaczyłem czarno na białym, w jaki sposób szeregowi esbecy

oszukiwali swoich zwierzchników. I jeżeli ktoś z IPN-u z poważną miną mówi mi, że raporty esbeków to dowód niepodważalny, to ja mu mówię: „Do widzenia panu, niech mi pan nie zawraca głowy takimi mądrościami. Bo wiem na pewno, że zdarzają się również podważalne od stóp do głów”.

To był jeden przypadek, gdzie teoria Staszka Barei się potwierdziła. A drugi to jak bez trudu odkryłem faceta, który miał za zadanie mnie śledzić. I mnie się nie chciało wierzyć, że skoro ja, mało spostrzegawczy – bo naprawdę jestem dość gapowaty i jeszcze z wadami wzroku – widzę w sposób ewidentny, że mnie ten chudy blondyn śledzi, to jak dalece on musi być nieumiejętny w swojej robocie. To było w Mielcu.

Przypomnij sobie, to samo było ze śledzeniem ciebie samochodami.

HF: Tak, tak było.

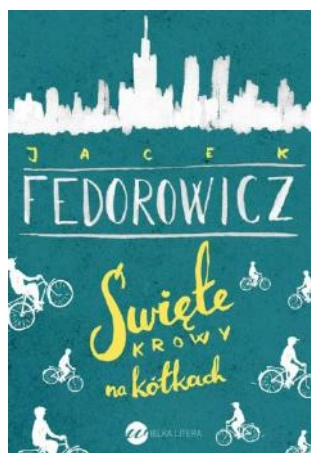
JF: Po prostu ślepy by zauważył, że na naszej pustej ulicy...

HF: Tyle samochodów parkuje i nagle jednocześnie rusza kawkada.

JF: ...rusza w momencie, kiedy ty wsiadasz do swojego samochodu.

HF: I przypadkiem jadą tą samą drogą, daleko, na drugą stronę miasta.

Może zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl

